

Róża, czyli jak zostałam detektywem przeszłości

Nazwałam ją Róża. Pewnie miała inaczej na imię - może Helga, Getruda albo Heidi. Tylko takie niemieckie imiona przychodziły mi do głowy. Ale Róża brzmi ładniej, po polsku i po niemiecku - Róża i Rose. Ciekawe, czy Róża miała pokój w tym samym miejscu, gdzie ja. A może była najmłodsza z rodzeństwa i dostała ten najmniejszy, gdzie z trudem mieści się teraz biurko taty, regał i mój rower.

Kiedy mama zarządziła remont kuchni, nikomu nie przyszło do głowy, że to będzie początek fantastycznej przygody i podróży w czasie. Przynajmniej dla mnie. Ale od początku.

Mieszkam na Niebuszewie. To szczecińska dzielnica. Moi rodzice kupili tu mieszkanie krótko przed tym, jak się urodziłam - na ulicy Reja. Kiedyś, podczas wizyty w Muzeum Narodowym w ratuszu, na dawnym planie Szczecina z lat 30. ubiegłego wieku, wtedy jeszcze niemieckiego miasta, odkryłam, że moja ulica nazywała się - do 1945 roku - Hamburger Strasse.

- To Niemcy już wtedy znali hamburgery? - zdziwiłam się. - Myślałam, że to danie amerykańskie.

- Głuptasie, nazwa pochodzi od miasta Hamburg. Zobacz, ulica Heleny, gdzie mieszka babcia, nazywała się kiedyś Bremen Strasse. Pewnie od nazwy miasta Brema - wyjaśnił mi tata, pokazując palcem na planie Stettina.

- Oooo, ulica cioci Basi - Lutniana, nazywała się kiedyś Mozart Strasse. Ale ładnie! A tu była ulica Gutenberga - ekscytowałam się, bo plan przedwojennego Szczecina stał się źródłem ciekawych wiadomości.

Wkrótce czekały mnie jeszcze ciekawsze odkrycia. Podczas remontu kuchni rodzice zdecydowali, że trzeba wyciąć dolną część wbudowanej w ścianę spiżarki - takiej szafy z otworami na dwór, dzięki czemu działała w zimie, jak lodówka i można było tu trzymać nawet mięso. Chcieli tu zmieścić zmywarkę. Co prawda, tata trochę oponował, że "spiżarka Niemca przeżyła" i że szkoda ją dewastować, ale w końcu kawałek spiżarki został wycięty. Wtedy właśnie okazało się, że na spodzie deska nieco się obruszyła. Kiedy tata poszedł do przedpokoju w poszukiwaniu młotka i gwoździ, odchyliłam nieco deskę. Lubiłam filmy, w których bohaterowie znajdowali w tajemniczych zakamarkach ukryte skarby, zatem wyobrażenia podpowiadała mi, że może są tam jakieś diamenty albo złota biżuteria - oczywiście własność mieszkających przed wojną Niemców. Jakież było moje zdziwienie, gdy grzebiąc pod deską, wyczułam palcami gruby papier. Okazało się, że były tam dwa czarno - białe, przyzółkle zdjęcia. Na pierwszej fotografii widniała mała dziewczynka, może dwuletnia, w sukience na ramiączkach. Miała krótkie włosy i trochę wyglądała jak chłopiec. Zdjęcie było zrobione chyba w jakimś zakładzie fotograficznym, bo dziewczynka sztywno siedziała na krześle obłożonym futerkiem, a obok stał koń na biegunach. Widać było, że to fotografia pozowana. Podobnie jak druga - tu był mężczyzna, elegancko ubrany, raczej brunet (ale trudno stwierdzić na czarno - białym zdjęciu), a obok niego dziewczynka uczesana w dwa warkoczki, ubrana w sukienkę przed kolana, z jasnym kołnierzykiem i trzeba guzikami pod szyją.

- Ile ona może mieć tu lat? - zastanawiałam się. - Pewnie osiem albo dziewięć.

- Raczej tyle co ty teraz, trzynaście albo czternaście. Zobacz, że sięga do ramienia taty.

Zupełnie, jak ty - przekonywała mama.

- Ale jest przecież tak dziecinnie ubrana - zdziwiłam się.

- Taka była dawniej moda.

Z przejęciem spojrzałam na tył zdjęcia, licząc, że znajdę tam imiona i nazwisko dawnych mieszkańców naszego mieszkania (byłam przekonana, iż nikt inny, by przecież nie schował w tak dziwnym miejscu swoich zdjęć), ale znalazłam tylko odręcznie napisane jedno słowo - Rose.

- Róża? Co to znaczy? - nie kryłam rozczarowania.

- Może to imię tej dziewczynki? - zastanowiła się mama.

Rodzice dalej remontowali kuchnię, a ja postanowiłam sprawdzić, kim mogli być - Róża (bo tak nazwałam dziewczynę ze zdjęcia) i jej tata. W internecie wyszukałam zeskanowaną szczecińską książkę adresową (Stettiner Adressbuch) z 1943 roku, której druga część zawiera nazwiska mieszkańców uporządkowane według ulic i dzielnic. Znalazłam zatem informację, że w mieszkaniu mojej babci mieszkała pani Schmidt, wdowa, a miała za sąsiadów - urzędnika i księgowego. W książce adresowej nie było mojej ulicy - Hamburger Strasse. Tak, jakby w 1943 roku nasza kamienica w ogóle nie istniała. Przeszukałam strona po stronie i ... nic. Tymczasem wiem, bo znalazłam w książce o Niebuszewie, że kwartał ulic - Reja, Heleny, Karpińskiego i Orzeszkowej, powstał w latach trzydziestych XX wieku.

- Kiedyś sąsiadka z dołu mówiła mi, że na naszej ulicy były mieszkania pracowników niemieckiej fabryki zbrojeniowej. Może dlatego nie ma ich danych w książce adresowej, bo to była jakaś tajna fabryka - zastanawiał się tata. - To były czasy wojny, czasem dane ważnych pracowników były utajniane. Zresztą, idź do sąsiadki, zdaje się, że ona przyjechała do Szczecina już w 1945 roku. Może wie coś więcej o dawnych lokatorach

Okazało się, że nasza sąsiadka, pani Leokadia, jest skarbnicą wiedzy o czasach powojennych. Przyjechała do Szczecina ze Stanisławowa na Ukrainie w lipcu 1945 roku.

- W Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym przy ulicy Augusta, teraz to Małopolska, dostaliśmy z rodziną przydział na jeden pokój w dużym mieszkaniu na ulicy Słowackiego - pani Leokadia zaczęła snuć swoją opowieść. - Kiedy przyszliśmy tam, nawet mi się spodobało, choć wszędzie było brudno, walały się połamane meble, jakieś resztki rozebranych pieców leżały przed wejściem do kamienicy. Zauroczyły mnie jednak przedogródki przed każdą klatką, wyobrażałam sobie, jak pięknie tu będzie, jak posadzę kwiaty. Ale życie we wspólnym mieszkaniu było ciężkie. Sąsiedzi zza ściany zajmowali się handlem, a właściwie szabrownictwem. Podobno okradali wille na Pogodnie i sprzedawali co się dało. W trzecim pokoju było małżeństwo. Kobieta miała krótko ostrzyżone włosy, była wychudzona i bardzo blada, choć był środek lata. Do Szczecina przyszła na piechotę z obozu w Sachsenhausen. Miała koszmary senne i w nocy często budziły mnie jej krzyki. Czwarty pokój był zamknięty, mówiono, że wprowadzi się tam radziecki oficer, ale nigdy go nie widziałam. Przyjaciółka mojej siostry, która była Żydówką, zaproponowała nam przeprowadzkę do jej kamienicy przy ulicy Hamburger Strasse - wtedy jeszcze tabliczka z niemiecką nazwą wisiała nad wejściem do klatki.

Pani Leokadia opowiedziała mi, jak miała się wprowadzić do sąsiedniej klatki, ale tam już wszystkie mieszkania były zajęte - w kilku zamieszkały żydowskie rodziny, w innych ciągle mieszkali Niemcy.

- Język jidysz mieszał się z niemieckim, a że te języki są do siebie podobne, sąsiedzi się jakoś dogadywali ze sobą. Nie było waśni, wszyscy się szanowali i wspierali, bo wieczorami kręcili się szabrownicy - mówiła pani Leokadia. - Taki młody Żyd, który przyjechał aż z Kazachstanu, zakochał się w Niemce. Ale ona wyjechała z rodzicami do Greifswaldu. Chyba

właśnie jesienią 1945 roku na murach i płotach powieszono obwieszczenie prezydenta Szczecina, naszego, polskiego prezydenta - Piotra Zaremby, że Niemcy mogą pojechać do Greifswaldu specjalnymi pociągami, z dworca Niebuszewo. Za darmo. No i ta Niemka wyjechała. Słyszałam, że w latach osiemdziesiątych przyjechała zobaczyć swoje stare mieszkanie i odwiedzić dawnych sąsiadów z 1945 roku. Ale nikogo z nich nie było. Wyjechali do Izraela, w 1968 roku, kiedy Żydzi masowo wyjeżdżali z Polski. Wtedy zamiast paszportu otrzymywali dokumenty podróży ważne tylko w jedną stronę, bez możliwości powrotu. Z kolei przyjaciółka mojej siostry uciekła do Francji, podczas koncertów z jakimś zespołem muzycznym, też w latach sześćdziesiątych.

Jak wynikało z opowieści pani Leokadii, mieszkania w klatce długo stały puste po 1945 roku, bo ewentualnych nowych mieszkańców odstraszał namalowany farbą napis na budynku: TYFUS. Pani Leokadia postanowiła zaryzykować i się tu jednak wprowadzić, wraz z siostrą i ojcem, do trzypokojowego mieszkania na parterze. Wtedy było zajęte tylko mieszkanie na ostatnim piętrze - była tam kobieta z dwojgiem dzieci, która po zaledwie kilku miesiącach przeprowadziła się, nie wiadomo dlaczego, na pierwsze piętro. To były takie czasy, że można było wybierać sobie opuszczone mieszkania.

- Dla nas to było luksusowe mieszkanie, z łazienką i ubikacją, z miejskim ogrzewaniem - wspominała sąsiadka podczas spotkania. Kiedy tu przyszedłam pierwszy raz, dziwnie się poczułam. Wyglądało tu tak, jakby mieszkańcy wyjechali na wczasy, zostawiając talerze po obiedzie na stole, a w szafie zimowe ubrania i poprasowane obrusy. Pamiętam ciemnoróżowy szlafrok z weluru, który został po poprzedniej lokatorce. Bardzo mi się podobał, ale najpierw nie miałam śmiałości go włożyć. Myślałam co to będzie, jak wróci jego właścicielka i zastanie mnie w tym szlafroku. Nie wróciła.

- Pani Leokadio, czy wie pani, kto mógł mieszkać w tej kamienicy przed wojną - dopytywałam starszą panią.

- Nie pamiętam, gdzie mi to mówiono, może to był listonosz - pani Leokadia na chwilę przerwała. - Podobno mieszkali tu wysoko postawieni pracownicy fabryki amunicji. Mówiono, że ewakuowano ich w głąb Niemiec już w 1944 roku. Ale nie wierzę w to, bo moje mieszkanie w lipcu 1945 roku wyglądało na opuszczone zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Nawet nie było tu bardzo brudno, porównując do mieszkania na Słowackiego, gdzie pluskwy były nawet pod tapetą na ścianach. Z mebli co prawda został przy Reja tylko stół i wielka szafa, bo resztę ukradli pewnie szabrownicy. Ale poza tym, czuło się tu obecność poprzednich lokatorów.

Pani Leokadia okazała się skarbnicą wiedzy, ale o pierwszej powojennej lokatorce mojego mieszkania wiedziała niewiele. Była to bardzo małomówna kobieta, która przyjechała do powojennego Szczecina z Warszawy. Mówiono, że jest lekarką i że brała udział w Powstaniu Warszawskim. Podobno pracowała tam w szpitalu polowym, a podczas powstania wyszła za mąż.

- Mieszkała w naszej kamienicy z dwojgiem dzieci. Nigdy nie było tu jej męża. Może jej mąż zginął podczas wojny? - zastanawiała się pani Leokadia. - W powstaniu ta sąsiadka nosiła pseudonim Róża. O tym dowiedziałam się już po tym, jak ta lekarka po zaledwie dwóch latach wyjechała do Słupska. Podobno ukrywała się przed Urzędem Bezpieczeństwa. Plotkowano, że dzieci nie są jej, ale uratowała je z płonącego budynku w Warszawie i zabrała do Szczecina. Nie wiem, czy to wszystko prawda, bo ta kobieta nie utrzymywała żadnych

kontaktów z sąsiadami, robiła wrażenie, jakby się czegoś bała, nie pozwalała nawet dzieciom wychodzić na podwórko - skończyła swoją opowieść pani Leokadia, a ja nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam: dwie Róże w moim mieszkaniu!

Znaleziona fotografia Róży i jej taty nie dawała mi spokoju. Zastanawiałam się, jak to było, kiedy bombardowano Szczecin? Najpierw w 1940 roku, potem choćby 20 kwietnia 1943, w dniu urodzin Adolfa Hitlera, kiedy na miasto spadło 782 ton bomb. No i w 1944 roku - wtedy były naloty dywanowe, przeprowadzone przez lotnictwo brytyjskie RAF i amerykański USAAF. Te ostatnie objęły nie tylko Stare Miasto i Pomorzany, ale też Niebuszewo. Trudno mi sobie nawet wyobrazić, co czuła wtedy Róża, jak bardzo się bała. Pewnie wtulała się wtedy mocno w ramiona rodziców. No właśnie, na zdjęciu znalezionym w spiżarni nie ma mamy dziewczynki.

- Co się z nią stało? Może zmarła na tyfus? - zastanawiałam się. - Podobno po zakończeniu wojny w Szczecinie dziennie nawet kilkuset Niemców umierało na tę właśnie chorobę.

Ciekawość zaprowadziła mnie do czytelni Książnicy Pomorskiej w Szczecinie. Tam znalazłam mnóstwo opisów tego, jak wyglądało życie szczecinian podczas wojny i zaraz po niej. Głód i śmierć z głodu - to był największy problem tamtych czasów. Głodowali wszyscy - Polacy, którzy masowo zjeżdżali na Ziemię Odzyskane z Kresów, z centrum kraju, uciekinierzy z Warszawy, a także Niemcy - ci, którzy czekali na możliwość wyjazdu w głąb swojego kraju, ci, którzy nie mogli uwierzyć w to, że ich Stettin przestanie należeć do Rzeszy oraz ci, którzy uciekli z Prus Wschodnich i całego Pomorza. W 1945 roku polski Szczecin składał się z ponad 80 tysięcy Niemców (w większości przyjezdnych z innych rejonów kraju) oraz zaledwie z 1500 Polaków.

W lutym 1946 zaczęła się tu akcja przesiedleńcza ludności niemieckiej pod nazwą "Jaskółka". W pierwszym okresie przesiedlania miały być wywożone osoby z dobrym stanem zdrowia - z transportu wyłączono osoby wymagające szpitalnego leczenia, kobiety od 6 tygodnia ciąży i do 6 tygodni po porodzie, osoby znajdujące się w zakładach opiekuńczych - dla umysłowo chorych oraz w więzieniach..

Patrząc na fotografię Róży, byłam ciekawa, kiedy ona wyjechała do Niemiec - czy w 1944 roku, jak sugerowała pani Leokadia, czy zaraz po wojnie czy może wraz z akcją przesiedleńczą "Jaskółka" w 1946 roku? Gdzie wyjechała? Do Greifswaldu czy jeszcze dalej? A jeśli zginęła podczas nalotów na Szczecin? Kim była malutka dziewczynka na drugim zdjęciu, bo z pewnością nie przypominała Róży? Czy to była siostra Róży, czy zginęła w trakcie bombardowań razem z mamą? Pytań miałam jeszcze tak wiele... Ot, choćby w jakiej szkole uczyła się Róża? W przedwojennym Szczecinie wszystkie szkoły podzielone były na szkoły dla chłopców i dla dziewcząt. Zwykle cyfrą nieparzystą określona była placówka męska, a parzystą - żeńska. Szkoły posiadały oficjalne urzędowe nazwy, najczęściej pochodzące od ulicy, przy której leżały.

Czy Róża chodziła do Elysium Schule, przy obecnej ulicy Niemcewicza? Miałaby bardzo blisko z domu - zastanawiałam się... - Czy chodziła do Konzerthausu na koncerty, tam gdzie teraz jest Filharmonia im. M. Karłowicza?. A może fascynowało ją kino? W Szczecinie przed wojną filmy można było obejrzeć m.in. w hali "Urania" przy obecnej ulicy Starzyńskiego (teraz w jej miejscu jest cerkiew św. Mikołaja) albo w "Ufa - Palast" przy al. Niepodległości, gdzie otwarto w 1929 roku kino na 1250 osób (zostało zbombardowane podczas nalotów w 1944 roku). Pewnie Róża lubiła, jak to dziewczyna, chodzić na zakupy. Może kupowała sukienki w "Familien Kaufhaus", a jej tata drogie garnitury w sklepie firmowym fabryki

odzieży męskiej rodziny Feldbergów, cenionej marki przed wojną (ich sklepy były również w Berlinie).

Kilka tygodni od rozpoczęcia mojego "śledztwa przeszłości" pani Leokadia zmarła. Po pogrzebie sąsiadki poznałam jej córkę, panią Helenę.

- Mama dużo o tobie opowiadała. Mówiła, że interesujesz się historią naszej kamienicy - usłyszałam od pani Heleny podczas spotkania, jakie zorganizowała dla sąsiadów na kilka dni po pogrzebie w mieszkaniu swojej mamy. - Ciekawa jestem, co dzieje się z kobietą, która kiedyś mieszkała tam, gdzie ty teraz z rodzicami, ale zaraz po wojnie. Mojej mamie co prawda mieszały się na starość czasy współczesne z dawnymi, ale mówiła mi, że zapomniała ci o czymś wspomnieć. Opowiadała, że kiedyś dziewczynka z pierwszego piętra pomogła jej wnieść do mieszkania ciężkie zakupy. Mama zapytała ją jak ma na imię i do której chodzi klasy. Wtedy usłyszała zdanie złożone z wymieszanych słów - polskich i niemieckich. Zrozumiała tylko, że dziewczynka mieszka na pierwszym piętrze. A na koniec jej imię. Róża.
- Ja mieszkam na pierwszym piętrze! - zdziwiłam się.
- No tak, chodzi mi o dziewczynkę z waszego mieszkania - usłyszałam.